

Język Obcych

Stefan Hertmans

Karnawał w Binche
fot. TOMASZ CIBULLA
[s. 28–33]



W Europie jutra belgijska hybrydowość będzie miała pewien atut kulturowy. Belgowie dobrze znają sztukę negocjacji, która idzie w parze z częstym kontaktowaniem się z Obcymi.

Aspirująca do autonomii Flandria kreuje swój wizerunek w sposób, który może wywołać zaskoczenie wśród zagranicznych obserwatorów: mieszkania socjalne w okolicach Brukseli przysługują tylko tym, którzy ze względu na integrację uczęszczają na kursy języka niderlandzkiego; działki budowlane przeznaczone są jedynie dla tych, którzy mieszkają przynajmniej od dwóch lat w danej gminie; burmistrzowie są wybierani, jednakże nie zostają oficjalnie mianowani, ponieważ w czasie posiedzenia komisji nie wypowiadali się w wymaganym języku oficjalnym lub dlatego, że nie wypełnili po niderlandzku przesłanych formularzy. Należy jednak dodać, że ci sami burmistrzowie (frankofońscy) nie chcą zrozumieć, iż na płaszczyźnie demokratycznej integracja jest opcją świadczącą o większej inteligencji niż nurzanie się w kulturowym protekcjonizmie. Czyżby Flamandowie, jeszcze do niedawna poligloci, stali się nagle ksenofobami i rasistami? Czyżby ludność frankofońska zamieszkująca okolice Brukseli była tak nostalgiczna i ślepa na współczesny

świat? Co się dzieje z „płaskim krajem”¹, który przyjął do swojej stolicy Komisję Europejską? Co się dzieje ze stolicą, w której w wielu dzielnicach mówi się teraz w języku lingala, berberyjskim, arabskim i swahili, a nie niderlandzkim czy francuskim? Czy dwuwspółnotowy pryzmat, poprzez który świat obserwuje toczące się w Belgii spory, odpowiada jeszcze demograficznej rzeczywistości?

Istnieje bezpośredni, nieunikniony związek pomiędzy populizmem a radykalizmem – jest to tendencja, którą można wyczuć w całej Europie, również w Belgii. Świadomość historyczna może zredukować się do egocentrycznego spojrzenia na historię: każdy interpretuje ją na swój sposób. We Flandrii separatyści utrzymują, że Belgia jest sztucznym tworem, nieudanym zespoleniem, które należy raz na zawsze rozwiązać, ponieważ nawet w kwestiach społecznych i politycznych dojście do konsensusu jest tam już niemożliwe. Ten dyskurs, na który godzi się spora grupa mieszkańców miast, nie jest tak archaiczny, jak mogłoby się wydawać; jest nieco postmodernistyczny. Wychodzi od zasady Europy regionalnej, stroi się w piórka szlachetnej, niemal ekologicznej demografii, dążącej do zwrócenia się przeciwko brakowi zróżnicowania właściwemu globalizacji. Wielu flamandzkich separatystów kryje w sobie złagodzoną wersję José Bové². Druga strona medalu to ukryty protekcjonizm skierowany na siebie samego – i tak postawa postmodernistyczna staje się synonimem fundamentalizmu. Wraz z rozłamem partii politycznych na flamandzkie i frankofońskie, sięgającym kilku dziesięcioleci, szykował się od dawna również upadek ducha. Tymczasem,

¹ Nawiązanie do utworu Jacques'a Brela *Plat pays* oraz pojęcia *Nederlanden* – dosł. „niskie kraje”, czyli Holandia i Belgia (Flandria) [przyp. tłum.].

² Polityk francuski, jedna z głównych postaci francuskiego alterglobalizmu.

zwłaszcza we Flandrii, narodził się ksenofobiczny dyskurs chętny się pragmatyzmem; chęć pozbycia się drugiego języka w dokumentach ściśle użytkowych, co miałyby ułatwić ich obieg. Poza tym po stronie frankofońskiej wnioskuję się, okazując w ten sposób lekceważenie wobec międzynarodowej tradycji kulturowej, że Flamandowie zawsze byli konserwatystami o wąskich horyzontach. Tak więc nie można się dziwić, widząc, że z jednej i drugiej strony politycy umizgują się do swojego elektoratu tworząc moralne karykatury Tych Drugich, a przy tym ukrywając brak prawdziwej wizji politycznej.

Od dziesięciu lat mieszkam w okolicach Brukseli, czyli w okręgu znanym pod skrótowcem

BHV: Bruxelles-Hal-Vilvorde. Mam w tej flamandzkiej społeczności sąsiadów, którzy mówią po francusku, ale również takich, którzy mówią po angielsku (odmianą amerykańską), fińsku i polsku. W tych warunkach właściwie co dzień na ulicach można się zetknąć z kwestią rozwoju stolicy. Dawne gminy flamandzkie, tak jak i prowansalskie miasteczko, gdzie mieszkam latem, chcą zachować część swojej indywidualności i uznają za raczej upokarzające zetknięcie się z „nie rozumiem” czy też, co gorsza, z „przeklęty Flamand!”. Nie wypada przecież szkalować domu, który nas gości. Nigdzie na świecie przywiązanie do prawa mówienia wyłącznie własnym językiem nie sprzyja integracji, wręcz przeciwnie, wzbudza jedynie niechęć i brak zrozumienia dla kraju,



w którym pragnie się osiedlić. Przebywający w Polsce Rosjanie, którzy nie chcą mówić po polsku, spotykają się tam z tym samym problemem, podobnie zresztą jak Anglicy, którzy we Francji nie chcą się porozumiewać po francusku. A jednak Marokańczycy biegle posługują się niderlandzkim w Gandawie i Antwerpii. Dlaczego więc frankofoni z okolic Brukseli tego nie robią, a gdy Flamandowie domagają się od nich, by stali się dwujęzyczni pośród ludności mówiącej po niderlandzku, zarzucają im uprawianie polityki krwi i ziemi? Załóżmy, że jakieś dziesięć tysięcy Flamandów osiedla się w okolicach Waterloo, wybierają tam niderlandzkiego burmistrza, który sabotowałby gminne dokumenty: czy w tej sytuacji ludność frankofońska nadal mówiłaby o prawach narodów, czy też może wymagałaby poszanowania języka i kultury swojego terytorium? Oczywiście, to ten drugi scenariusz potwierdziłby się. Krótko mówiąc, frustracja Flamandów, którzy nie mieszkają w okolicach Brukseli, ma swoje korzenie w trwającej wiele dziesiątków lat konfrontacji z ludźmi odbierającymi zaproszenie do integracji kulturowej w części niderlandofońskiej kraju jako osobistą zniewagę. Na poziomie wyborczym to odrzucenie było przyczynkiem do radykalizacji flamandzkich umysłów, czego konsekwencjami są haniebne wybryki, takie jak Interes Flamandzki³ i protekcyjnista paranoja w gminach z okolic Brukseli. W czasach, kiedy Flamandowie otrzymali praktycznie wszystkie prawa, które, mówiąc demokratycznie, przysługują każdemu narodowi, są oni bardziej drobiazgowi niż kiedykolwiek w kwestii języka i widzą w nim przyczynę wszystkich nieporozumień. Oczywiście, nie do końca się mylą: dwie grupy ludności zamieszkujące to samo terytorium,

z których żadna nie czyta gazet drugiej, szybko stworzą karykaturalny wizerunek swojego sąsiada. Jednakże flamandzcy politycy również ponoszą tu część odpowiedzialności: nie interesują się zbyt swoimi południowymi sąsiadami.

Radykalizacja jest w dużej mierze związana z urbanistyczną degradacją stolicy w latach 1960–1980, degradacją, która we Flandrii była przypisywana frankofońskim mieszkańcom. Począwszy od odległych czasów, we Flandrii postrzega się Brukselę jako miejsce szkodliwe, które należy omijać i gdzie króluje korupcja finansowa; miejsce, w którym Flamand jest postrzegany jako intruz. Jednocześnie, mimo że niewielu Flamandów rozważa osiedlenie się w Brukseli i przejęcie za nią odpowiedzialności, jest ona wciąż nostalgicznie pożądana jako historyczna stolica Flandrii. Przepychanki między dwiema wspólnotami byłyby przeszkodą dla każdej pragmatycznej polityki, a przecież miastu pilnie potrzeba energicznej, wielokulturowej polityki społecznej, popartej pomysłem na wykorzystanie złożoności demograficznej miasta.

Już w czasach wielkich umysłów, takich jak kompozytor z XVI wieku Orlando di Lasso (który faktycznie nazywał się Roland de Là-Dessus i pochodził z Mons), na obszarze zwanym dziś Belgią mówiło się po francusku, flamandzku i niemiecku. To jedyne w swoim rodzaju połączenie elementów łacińskich i germańskich, znamienne dla belgijskiej tożsamości, ma swój początek długo przed 1830 rokiem. Powstała z niego kultura hybrydowa, która, cokolwiek powiedzą o niej separatyści, jest organiczna, nie sztucznie utworzona. Sztuczne natomiast jest aktualne, przesadne wyolbrzymianie różnic. Wraz z Ruchem Flamandzkim, który powstał pod koniec XVIII wieku i doprowadził do emancypacji w wieku XX, Flamandowie, +

³ Vlaams Belang – skrajnie prawicowa partia z Regionu Flamandzkiego, która optuje za pełną niezależnością Flandrii.

stanowiący większość w tym kraju, domagali się swojego obywatelstwa i otrzymali je, dokonując tego bez najmniejszego aktu przemocy. Toteż z historycznego punktu widzenia, a zwłaszcza w kontekście europejskim, to, co tak bardzo dzieli umysły w dzisiejszych czasach, jest całkowicie zbędne, choć symbolicznie stanowi kwestię bardzo delikatną. Faktem jest, że człowiek to zwierzę semiotyczne.

Pozostaje więc powszechne rozdrażnienie, podsycane z obu stron przez media i polityków. Na przykład wielu członków społeczności flamandzkiej mieszkających w tym mieście od wieków było oburzonych słowami frankofońskiego polityka, który stwierdził kilka lat temu, że organizowany w Brukseli festiwal *Kunstenfestival des Arts*, skierowany przeciw do środowisk międzynarodowych, był flamandzkim koniem trojańskim chcącym zawładnąć miastem. Takie deklaracje zdradzają pewną formę rasizmu kulturowego, który żyje jeszcze intensywnie w pewnych brukselskich środowiskach. Flamand jest traktowany z większym szacunkiem w Paryżu niż w Brukseli. Z drugiej strony, narcyzm kulturowy separatystycznych partii flamandzkich zagraża poważnie przyszłości Brukseli w Europie jutra, a nostalgiczne przywiązanie do flamandzkich dialektów nie ma doprawdy nic z zaproszenia międzynarodowej społeczności do nauki poprawnego języka niderlandzkiego. Prawdą jest, że Bruksela, miasto przede wszystkim frankofońskie, jest położone we Flandrii, jednakże z uwagi na rozwój stolicy konieczne jest wzięcie pod uwagę wzmagającej się wielokulturowości. Rozwój ten będzie możliwy jedynie dzięki politycznej gościnności obu dużych społeczności. Żaden europejski mediator – siłą rzeczy naiwny w naszych oczach – nie może nam pomóc w tym zadaniu. W Europie jutra belgijska hybrydowość będzie miała jednakże pewien atut kulturowy.

Belgowie dobrze znają sztukę negocjacji, która idzie w parze z częstym kontaktowaniem się z Obcymi. Demokracja mowy widziana na sposób belgijski jest sama w sobie dobrą demokracją; naucza nas, że życie razem jest kwestią różnorodności, a nie jednakowego myślenia. Dzisiaj, kiedy Bruksela stała się fascynującą, współczesną wieżą Babel, Belgowie powinni być modelowymi europejskimi obywatelami, a nie stanowić ogólne pośmiewisko. Belgia może zostać uratowana tylko dzięki polityce wzajemnego szacunku. A szacunek ten zaczyna się od kulturalnego gestu: nauczenia się języka Drugich i posługiwania się nim przez respekt dla kulturowej odmienności – przez poglądy demokratyczne. Ten, który pragnie kultury jednojęzycznej; ten, który odmawia mówienia w nie swoim języku w tym kraju, już jest separatystą, nieważne, czy jest franko-, czy niderlandofonem. W dzisiejszej Belgii, umiejscowionej na skrzyżowaniu wielkich, europejskich kultur, wprowadzenie nawet trzeciego języka jest od dawna koniecznością. W dalekiej przeszłości kardynał Mercier, prymas Belgii, powiedział: „Belgia będzie łacińska albo jej wcale nie będzie”. Historia pokazała, że się mylił: Belgia będzie wielojęzyczna lub wcale jej nie będzie. Jest to rzeczywistość, z której Belgowie powinni być dumni, zamiast izolować się jedni od drugich, uzbrojeni w masę populistycznych uprzedzeń. ●

© Stefan Hertmans
trad. Marnix Vincent
tłum. Magdalena Tkaczyk